

Od autorki

Wszystkie zdarzenia się wydarzyły albo mogły się wydarzyć, bo taki był czas. Wszystkie postacie są prawdziwe albo prawdziwe być mogły.

Jest to jednak fikcja literacka, oparta na opowieściach starych ludzi, którzy te czasy przeżyli.

Kto siebie, swoich rodziców, dziadków, pradziadków, sąsiadów, krewnych, znajomych bliskich i dalekich w tej książce chce znaleźć, znajdzie na pewno. Pozna ich. Jeśli na naszej ziemi żył, obojętnie czy hanys czy chaziaj, czy autochton czy repatriant, rozpozna swoje miejsca, rozpozna swoich znajomych, swoich przyjaciół i wrogów.

Urodziłam się i wychowałam na śląskiej wsi jako autochtonka. Wiele lat mieszkałam w wielkim mieście, ale ciągnęło mnie do tej mojej wiochy i teraz na emeryturze siedzę tu, w tej mojej wsi.

Książkę dawno napisałam, ale nie miałam odwagi jej publikować. I dziś jeszcze tkwi we mnie ten strach autochtoński, czy raczej kompleks autochtonki: nie chcę być rozpoznana. Dlatego książka została wydana pod pseudonimem LEONIA.

Rozdział I

Mroźny był ten kolejny wojenny styczeń, ale śniegu nie było dużo. Uwolnione od śniegu oziminy zieleniły się miejscami i marzły. Bezśnieżny las był czarny, brzydki. Rzeka zamarzła. Sarny i zające bez trudu odnajdywały ścieżki do zielonych wysepek na polach, żerując bezkarnie. Nikt nie patrzył na pola, tylko stary Johan mawiał: „muszę postawić stracha”. Ludzie patrzyli na szosę. Choć zima nie jest porą wędrówek, nie jest porą opuszczania domów, choć zima jest porą domowego ciepła, uciekania z mroźnej drogi, z zimnego podwórka i grzania zmarzniętych dłoni nad piecem, suszenia przemoczonych butów i skarpet – opuszczali swoje domy. Ciągnęli swój dobytek na wozach, wózkach, nieśli na plecach, okutani w jupy, długie płaszcze, ciepłe chusty i szale. Wojnę było słyszeć, front był blisko, ale jak tu opuścić dom?

Maria najbardziej bała się głodu, a trzy worki mąki na strychu, wędzonka w kominie, słoje smalcu w komorze, dwie dojne krowy w chlewie... było dobrobytem w wojennych czasach. Wystawała na podwórku i patrzyła w stronę szosy i na kominy sąsiedzkich domów: czy jeszcze się dymi, czy już piece wygaszone i domy opuszczone. Nie bała się Polaków, żyli przecież od wieków obok siebie. Bała się Rosjan. Mówiono, że to dzicz.

Ona, jej ojciec i matka mówili po śląsku, tak jak wszyscy, ale dzieci – tylko po niemiecku. Erika, najstarsza córka Marii, wiedziała, że jest wojna, ale tego nie rozumiała, cieszyła się, gdy papa przyjechał, zawsze przyjeżdżał w mundurze, ale to już było tak dawno... A i Paul kochał tę najstarszą córkę najbardziej. Rozmawiał z dziećmi tylko po niemiecku i tak też kazał Marii. Jedynie gdy coś trzeba było omówić

w tajemnicy, rozmawiali po śląsku. Tak bywało przed Bożym Narodzeniem, gdy miało przyjść Dzieciątko z prezentami. Johan i Ulka mówili do wnuczek po śląsku, bo tak było normalnie, tak jak zawsze. Uważali, że tu od wieków oboma językami mówiono i tak już będzie, i żadne zakazy tego nie zmieniają.

Johan z Ulką mieszkali obok, na wycugu. Ich dom był nowy, niedawno Johan dokończył budowę. Jeszcze Paul mu pomagał, zanim go powołano.

Kiedy Johan przyjechał do tej wsi z dalekich Niemiec, kupił starą, drewnianą chatę pod strzechą i pięć morgów ziemi przynależnych do tej chaty. Stary Gruss, właściciel chaty i gruntu, był już wtedy człowiekiem wiekowym i samotnym, chętnie to gospodarstwo Johanowi sprzedał, no bo tak samo się nazywał. Ale Grusek na niego mówiono, bo był niskiego wzrostu.

– Gruss, nazwisko Gruss zostanie na mojej ziemi. Choć tyle – pocieszał się.

Johan Gruss wiele lat ciężko pracował u bauera. Nauczył się też murarki. Dorobił się trochę grosza i zapragnął wrócić w strony, o których rodzice opowiadali, do których tęsknili i mówili: „tam został nasz hajmat”. Przed laty wyjechali za chlebem i tam już zostali. Umarli na zarazę, a Johan przeżył i tułał się po bauerach jako parobek. Nauczył się, że wszystko można stracić, jedynie ziemia się ostatecznie, jedynie ziemia może wyżywić. Kupił to gospodarstwo od starego Gruska, znalazł sobie żonę Ulkę, dziewczynę niezbyt urodziwą, do tego biedną, ale pracowitą. Wkrótce stary Grusek umarł, a pieniądze, które mu dał Johan za dom, znów do niego wróciły. Ulka dobra była dla staruszka, opiekowała się nim aż do śmierci i w testamencie jej i Johanowi zapisał te pieniądze. Stara chata waliła się, słomiany dach przeciekał, trzeba było budować nowy dom.

I rodzina miała się powiększyć. Tak to dorobił się Johan domu murowanego, krytego dachówką, był też chlew i stodoła, i jeszcze ziemi trochę dokupił. Jeszcze w czasie budowy urodziła się córka Maria, a po dwóch latach druga córka Barbarka. Całe to gospodarstwo zapisał Marii, gdy wydawał ją za mąż za Paula. Młodszą córkę Barbel, bo tak kazano ją po niemiecku nazywać, wykształcił na pielęgniarkę i położną. Był dumny, że ma taką mądrą i kształconą córkę. Dla siebie i Ulki wybudował wycug – nowy mały domek, tyle co jedna izba, mała

kuchenska, komórka i sień. Dla dwojga starych ludzi dość. Jak Barbel przyjechała, to się na szezlongu w kuchni wyspała.

Wieczory były jeszcze długie, choć od Godów dnia już przybywało. Tego wieczora wszyscy zgromadzili w kuchni u Marii, choć właściwie kuchnia zawsze była miejscem, gdzie się żyło. Była duża, tu było ciepło, tu stał duży stół, a na nim lampa naftowa. Do izby szło się spać i przyjmowało się księdza na kolędę.

Maria siedziała przy stole i nogą potrącała kołyskę, w której spała mała Agnes, jeszcze niemowlę. Ulka i dwie starsze dziewczynki – Erika i Liza – usiadły na ławie za stołem, tylko Johan stał przy piecu, grzał dłonie nad ciepłą blachą i co chwilę nerwowo je zacierał, tyłem zwrócony do innych.

– Fater, uciekajmy – odezwała się Maria. To nie było ani pytanie, ani stwierdzenie. Chciała, żeby jej zabronił, żeby kazał zostać albo kazał uciekać. Sama nie wiedziała, co ma zrobić. Tak było zawsze. Nie potrafiła podejmować decyzji. Dotychczas ojciec albo Paul decydowali za nią i było to wygodne. Bała się odpowiedzialności. Jeśli już coś postanowiła, to miała wątpliwości, czy wybrała właściwie.

– Dokąd ty chcesz uciekać? Jak teraz, w taką zimę, z dziećmi ruszać się z domu? Zostawić wszystko, cały dorobek naszego życia?

– Fater, tu nas zabijają, to co nam wtedy przyjdzie z tego naszego dorobku. Mówią, że zabijają wszystkich, jak ktoś z rodziny jest w Wehrmachcie.

Johan milczał, bo tak samo mówili w kościele i w karczmie.

– Ty się spakuj i uciekaj z dziećmi. My z matką zostajemy – powiedział stanowczo.

– Ale fater, zabijają was...

Nie dał jej dokończyć.

– Powiedziałem ci, jedź, a my z matką zostajemy. Jesteśmy już starzy. Choćby nas i mieli zabić... Gospodarstwa przecież z sobą nie weźmiesz. A co będzie z krowami i resztą dobytku; jak tego swoi nie rozkradną, to wszystko zdechnie z głodu – zamilkł i dalej stał przy piecu, tyłem do wszystkich odwrócony.

Ulka nic nie mówiła, ocierała tylko łzy frędzlami od chustki. Johan znowu za nią zdecydował i nawet nie zapytał, czy chce z nim tu zostać, czy uciekać z Marią. Ta zbyt głośna rozmowa obudziła małą Agnes, która zaczęła płakać, Johan wziął ją na ręce i potrząsał, no i dziec-

ko się uspokoiło. Kochał ją opa najbardziej. Była śniada, czarnooka i czarnowłosa. Mówiono, że jest brzydka, bo taka ciemna. Była taka jak Maria. Dwie starsze były jak Paul – jasnowłose i niebieskookie. Li-za miała latem bielusiętkie włoski i mówiono: to jest „Musterkind”¹, a Erika była ciemniejsza, ale jej oczy były piękne, niebiesciutkie jak chabry i zawsze jakby smutne.

Maria ułożyła dzieci i wraz z matką pakowała się. I dla siebie, i dla dzieci brała tylko zimowe ubrania. No bo po co letnie? Wojna się wkrótce skończy i wrócą do domu. Ulka wynosiła z komory chleby, słoninę, wędzonkę, pakowała to w gazety i wkładała do starego plecaka, który Paul kiedyś przyniósł po poległym frontowym przyjacielu.

– Muter, nie wezmę tego plecaka – powiedziała Maria do matki.

– Innego nie mamy, a jedzenie musisz mieć zawsze przy sobie. Pamietaj o tym, możesz zgubić ubrania, pieniądze, mogą ci je ukraść, ale jedzenie miej zawsze przy sobie. I pilnuj tego plecaka, bo na wojnie wszyscy są głodni.

Ulka dalej wkładała gazetowe pakunki do plecaka. Maria szarpnęła plecak i wskazując plamę, powiedziała:

– To jest krew po tym zabitym, a wy mi tu wkładacie jedzenie.

– Sama go wyprałam i w tym miejscu, gdzie była plama z krwi, dokładnie wiechciem i mydłem szorowałam... – nie dokończyła, bo wtrącił się Johan:

– Weźmiesz ten plecak, tak jak matka powiedziała.

Maria nie sprzeciwiała się dłużej, ale była zła. Była zła na Paula. Często przynosił jakieś stare niepotrzebne rzeczy. Jak ten plecak. Wyrzuciła go do szopy, chcąc go spalić, jak tylko Paul wyjedzie, potem plecak zniknął. To matka go uprała i schowała. No i się w końcu przydał. Bo matka już taka była, że zanim coś wyrzuciła, obejrzała rzecz kilka razy z każdej strony.

Johan szykował karetkę. Był to mały wózek na czterech kółkach, z dyszlem. Taka miniatura wozu konnego. W każdym gospodarstwie taki wózek był. Zwożono na nim kartofle z pola, kapustę, buraki, wieszono zboże do młyna, a jak trzeba było, to i człowieka do kościoła czy do lekarza, czy na stację kolejową... W małych gospodarstwach bez konia był niezastąpiony.

¹Musterkind (niem.) – wzorowe dziecko

U nich były dwie takie karetki. Gdy się Maria wydawała, Johan zrobił dla niej nową, tylko kółka zamówił u kołodzieja. Kto dziś taką karetkę miał, ładował na nią, co się dało, i ruszał. I Johan szykował karetkę do drogi. Przytwierdził do dyszla skórzany pas, aby Maria mogła ją ciągnąć całą sobą, położył na dnie pierzynę i układał pakunki.

Maria nie spała tej nocy. Leżała pod ciepłą pierzyną i cieszyła się tym ciepłem. Gdzie też spędzi następną noc? Miała wyrzuty sumienia, że zostawia rodziców; gdyby nie dzieci, nigdy by tego nie zrobiła. Słysząc było działa. Bała się wojny. Do tej pory oszczędziła ich. We wsi było jednak wiele wojennych wdów, wiele matek oplakiwało swoich poległych synów, była też w ludziach nadzieja, że wojna się skończy i ci, o których mówiono „zaginiony”, jednak wrócą. We wsi byli różni i nie można wszystkim ufać. Tu wszyscy wszystko wiedzieli. Choćby się nawet ukryli, to zawsze znajdzie się ktoś, kto doniesie. Choćby dla zasady lojalności wobec władzy albo dla jakichś korzyści materialnych czy ratowania własnej skóry. Paul już czwarty rok był na wojnie, jak większość młodych mężczyzn ze wsi, i wszyscy o tym wiedzieli, więc łatwo było wskazać rodziny Niemców, kiedy do wsi wkroczą Ruscy. W 1923 roku, kiedy ukryli się tu powstańcy, to ktoś ich wydał. Byli młodzi, ładni, mówili po śląsku tak jak tutejsi, prosili tylko o chleb. Mówiono, że to Koziół ich wydał, przenocował ich i niby ukrył, ale raniutko pobiegł na stację i zawiadomił niemiecką policję. Przyjechali i ich zastrzelili. Ludzie ze wsi milczeli, nie komentowali, ale wstydzili się, że właśnie tu tych ludzi spotkało coś tak potwornego, to była hańba dla całej wsi. Mówili po śląsku i po niemiecku, w czasie powstań walczyli po polskiej stronie, ale to przecież nie czyniło ich wrogami tej wsi. Pochowali ich na górze w lesie. Chodziła potem taka kobieta po wsi i szukała grobu syna. Ubrana była po polsku, to znaczy w mazelonkę, czyli w długą marszczoną spódnicę z wpuszczanymi kieszeniami. Do tego była jakła, czyli bluza zapinana z przodu, u dołu trochę rozszerzana, często z ozdobnymi guzikami i rękawami, w zależności od przeznaczenia jakli. Kościelna była bardziej ozdabiana, a taka na co dzień – skromniejsza. Taki komplet – jakła i mazelonka – zazwyczaj był koloru ciemnego, ale często z adamaszku z różnym wzorem. Była jeszcze chustka na głowę z frędzlami i bogato haftowana, i jeszcze fartuch, też haftowany. Chustka i fartuch też były kompletem. Zimą nie nosiło się po polsku płaszcz, zastępowała go gruba włochata chusta,

duża jak koc, którą odziewało się od głowy aż prawie do stóp, ozdobiona frędzlami. Chusta przeważnie była koloru czarnego lub ciemnej zieleni. Jesienny czy wiosenny płaszcz – to był ciepły, wełniany szal, w dużą kratę. Która we wsi ubierała się po niemiecku, nosiła sukienki, płaszczy, kapelusze lub jakąś małą chusteczkę... czyli tak nowocześnie.

I właśnie ta kobieta po polsku była ubrana, i ludzie rozpoznali ją jako swoją, i jeszcze bardziej było im wstyd, że właśnie w tej tu wsi tych ludzi spotkała śmierć. Mówiła, że jest z Zabrze, że syn bez jej zezwolenia poszedł do tego polskiego powstania, bo skołegował się na kopalni z takim Polakiem, który go w to wciągnął, a drugi syn, starszy, był właśnie do niemieckiego wojska powołany i zginął od powstańczej kuli...

Maria myślała często o tej kobiecie i dziękowała Bogu, że w tak spokojnym miejscu żyje. Wiadomości o powstaniach dochodziły wtedy i do nich, i nawet walczyło kilku po obu stronach, ale było to jakoś daleko... i ci tu nie wracali. Tam żyli na „Górach”. Dopiero śmierć tych trzech przyniosła prawdę o tych powstaniach. Potem zaczęła się ta okropna wojna w 1939, ale toczyła się gdzieś daleko, w Polsce, we Francji, w Rosji... Czasem smutna wiadomość, strach o Paula świadczyły o wojnie. Teraz Maria musi uciekać, bo wojna i tu nadchodzi. Co ją czeka w obcym kraju? Niby to swój kraj, też Niemcy, ale to tak daleko, wszystko jest inne i jakieś obce. Jeszcze za pannę co roku wyjeżdżała z dziewczynami ze wsi do bauera daleko w głąb Niemiec. Ciężko pracowały, ale bauer dobrze im płacił i ojciec cieszył się, bo pieniędzy był potrzebny, budował przecież wycug. Maria źle znosiła obczyznę. W niedzielę idzie się do kościoła, a tam był ewangelicki. Szły tam, ale czuły się, jakby zdradzały swoją wiarę, jakby grzeszyły przeciw pierwszemu przykazaniu „nie będziesz miał cudzych Bogów przede mną”. Z ewangelikami żyli tu we wsi spokojnie, po sąsiedzku, ale właściwie obok siebie. Ci, odrzuceni przez katolików, trzymali się razem. Teraz już ich tu nie było. Tylko w kilku domach zostali starzy pilnować majątku. Mieli nadzieję, że wojna się wkrótce skończy i to Niemcy będą zwycięzcami. Bo ewangelicy nigdy nie mieli wątpliwości określając swoją tożsamość – byli Niemcami.

Maria zasnęła nad ranem, na chwilę. Zaraz budził ją ojciec. I on też nie zmrużył oka. Maria poszła do chlewa, jak co dzień, nakarmić dobytek, wydoić krowy. Kręciła się po chlewie. Żal jej było zostawiać

to wszystko. Lubiła zapach krów, zapach mleka, pola... Była chłopką. Paul był inny. Pomagał jej w gospodarstwie, ale robił to tylko z obowiązku. Objechał świat i widział inne życie. Nie był też chłopskim synem. Jego ojciec był urzędnikiem, umarł, gdy Paul był jeszcze chłopcem. Ludzie mówili, że go Polacy pobili, inni, że Niemcy. Wrócił z Gór z rozbitą głową i już nie doszedł do siebie. Od tego pobicia umarł. Po śmierci ojca Paul pojechał w świat. Pływał na statkach albo w porcie pracował, bo Maria знаła jego adres w Bremen-Haffen. Znali się krótko. Czasem do niej pisywał i ona do niego, choć nie myślała o wspólnej przyszłości. Paul był przystojny i podobał się kobietom, a ona miała na oku innego kawalera, takiego chłopskiego syna, tylko że ten zrezygnował z uczucia, żeniąc się na duże gospodarstwo. Wtedy napisała do Paula, że czeka, no i on przyjechał, i za dwa miesiące było wesele. Dobrze i zgodnie sobie żyli, Paul miał dobrą pracę na pocztę w Opolu, toteż w 1940 od razu powołano go do łączności. Był zwykłym żołnierzem. Był Niemcem i czuł się Niemcem ale nie rozumiał tej wojny. Nie wierzył w żadną ideę, wierzył w ludzi. Od ludzi doznał wielu krzywd, ale jeśli trzeba było, zawsze ktoś mu pomógł. Walczył, bo trzeba było, zabijał, bo to wojna i kazano, i był gotów zginąć dla ojczyzny. Jednak bezsens wojny najbardziej odczuwa się w okopach. Tak samo było w tamtej wojnie. O tym jeszcze mu ojciec był opowiadał. O froncie francuskim tamtej wojny. W tej wojnie znów on walczył na tej samej ziemi. Czy każde pokolenie musi przejść koszmar wojny? Tu, na froncie, cieszył się, że nie ma syna, że córki mu się kolejno rodziły, nie przyznawał się do tego, mówił kolegom, że chciałby mieć syna. Urlopy należały do rzadkości i były wymarzone, nie tylko przez Paula, każdy frontowiec marzył o tym, by pojechać do domu, by pokazać bliskim, że jeszcze żyje, by przejść się przez wieś i pokazać, że oto on walczy na wojnie, nie tak jak ci tu ze wsi... Jednak takich, którzy by we wsi zostali, już prawie nie było, jedynie kilku starych lub bardzo młodych i rannych, kurujących się w domu. Te dni spędzone w domu były piękne: bez strzałów, bez huków, bez strachu. To były dni z Marią i z dziewczynkami, z normalnymi posiłkami i domowymi pracami, a noce z żoną w normalnym łóżku pod pierzyną...

I Maria była wtedy szczęśliwa. Dziękowała Bogu, że Paul żyje, choć nie wyobrażała sobie, żeby miał zginąć, nie wyobrażała sobie frontu, zabijania.

Wojnę widziała jakby z daleka. Pamięta, jak na jesień 1939 roku, jak się ta wojna zaczynała, szła z krową do byka, to musiała iść rowem, bo czołgi jechały jeden za drugim, jeden za drugim, i tak bez końca, a dzieci, co szły ze szkoły, podnosiły rączki i wołały „heil Hitler”. Potem, jak już wojna ze dwa lata trwała, przychodzili czasem w nocy albo późnym wieczorem jacyś ludzie. Byli to Rosjanie, więźniowie. Okropnie wyglądali: wychudzeni, brudni i smutni. Prosili o jedzenie. Maria albo Johan dawali im chleb, czasem kawał słoniny. Raz przyszli jak Paul był na urlopie. Jego mundur wisiał w sieni na haku; wystraszyli się i uciekali. Maria wołała: nie bójcie się – ale oni uciekali w ciemność, w stronę lasu. Paul ostrzegł jednak Marię: gdyby się to wydało i ona byłaby karana. Potem już nie przychodzili, a niedawno widzieli ich ludzie, jak sobie chodzili po domach i brali, co im się podobało, i nikt im się nie sprzeciwiał, bo mieli broń i w sąsiedniej wsi kilka osób zabili. Co jeszcze z tej wojny było blisko? Ostatniej jesieni, gdy już się wojsko cofało, wszystkie kobiety, stare i młode, także mężczyźni, sami starzykowie, wśród nich Kozioł – młody jeszcze, ale jakoby inwalida – więc wszyscy kopali rowy przeciwpancerne. Kopali od rana do wieczora. Zastanawiano się, po co ta robota, bo na chłopski rozum to wtedy i tak żaden pancer nie pojedzie... Tak kazali, więc tak robiono.

Ulka nakarmiła starsze dziewczynki, ubrała je ciepło i uściskała, małą Agnes opatulila w swoją kościelną chustę i ułożyła w pierzynie na karetce. Córcę podała rękę.

– Niech cię, Mariko, Bóg prowadzi, niech cię Bóg prowadzi – powiedziała.

– Zostańcie, muter, z Bogiem. I nie płaczcie, wrócimy.

Poprawiała jeszcze pakunki na karetce i Lizę też przy Agnes posadziła i nakazała, aby malutkiej siostry pilnowała.

– Może jednak zostaniesz – powiedział Johan.

– Gdyby nie dzieci, to bym została, nie zostawiłabym was ani matki – to mówiąc zakładała plecak, ciężki, że Johan jej pomagał, i potem ruszyli. Johan, choć do szosy ją prowadził, popychał karetkę.

– Pilnuj, Mariko, dzieci.

– Fater, będę pilnowała, a będzie, co Bóg da. Chcę wrócić i wrócę, a teraz idźcie już do domu, bo zimno, i pilnujcie się, nie dajcie się od Rusów zabić.

Staęli na chwilę. Johan spojrzał na Agnes, Lizę, podał rękę naj-

pierw Erice, potem Marii i został na drodze, a Maria dołączyła do ludzi na szosie. Jeszcze chwilę tylko było ich widać w ciemności, a potem słyszał stukot karetek po asfalcie. Poszedł do domu.

W południe dotarli do Opolą. Ktoś powiedział, że jadą jeszcze pociągi, i wszyscy kierowali się w stronę dworca. Tam rzeczywiście postawiono pociąg towarowy. Ludzie ładowali się z całym dobytkiem do bydlęcych wagonów i Maria też, tak jak inni. Stary kolejarz pomógł jej wnieść karetkę i szepnął, że dojadą tylko do Wrocławia, ale niech ucieka dalej, bo Rosjanie są blisko, a nasi się wycofują, z Wrocławia też... żeby pilnowała rzeczy, bo kradną, i żeby pilnowała dzieci, bo się łatwo w tłumie gubią.

We Wrocławiu rzeczywiście kazano wysiadać. Na dworcu były tłumy ludzi. Ledwo zdążyli wyladować się z wagonów, zaraz na ich miejsce byli nowi. Ranni i obsługa medyczna, którzy całą noc na dworcu na ten właśnie pociąg czekali. Ci, co dopiero przyjechali, kierowali się do przejścia podziemnego.

Zadziwiające, jak szybko roznoszą się dobre, złe, ale i praktyczne wiadomości. Maria szybko uczyła się, jak przetrwać. Musi zejść pod ziemię, bo tam jest bezpiecznie, gdy Rusy Wrocław bombardują. Usadowiła się w kajutce, gdzie kiedyś pewnie był sklepik, i cicho siedziała. Dzieci usnęły na pierzynie, a ona nasłuchiwała, a ludzi wciąż przybywało i robiło się coraz tłoczniej. Nikt nie wierzył, żeby jakiś pociąg w nocy nadjechał, w czasie nalotów, na pewno nie. Maria mimo wszystko nasłuchiwała i usłyszała gwizd. Agnes spała w chuście przy piersi. Podpatrzyła sposób noszenia niemowląt u innych kobiet. Dużą chustę wiązało się na jednym ramieniu i tworzyła się jakby rynienka, w tę rynienkę kładło się niemowlę i tam było bezpieczne, no i ręce były wolne. Wzięła to, co zdołała nieść, Erice i Lizie też coś do rączek wcisnęła i pobiegły na peron, zostawiając karetkę, pierzynę i prawie wszystko, co wzięła z domu. Zanim inni dowiedzieli się o pociągu, był pełny. Wsiadli ci, którzy nie zważając na zimno zostali na peronie. Marii też udało się wejść do wagonu.

Mieszkała przecież przy torach i życie na wsi właściwie toczyło się nie według zegara, a według pociągów. Zegar w domu był, ale nikt nań nie patrzył. Słuchało się pociągu. I tak się jej poszczęściło. Wsiadła do ładnego, czystego wagonu osobowego i na razie tylko przysiadła, nie wierząc, że będzie mogła tu pozostać. W przedziale była już ładna

pani z dwojgiem dzieci – chłopcem i dziewczynką. Widać byli to ludzie z miasta. Kobieta elegancko ubrana, dzieci czyste, zamiast pakunków i tobołków mieli walizki. Do przedziału dosiadło się jeszcze dwóch żołnierzy, jeden o kuli, drugi bez ręki. Konduktor wszedł do przedziału i sprzedawał bilety. Maria zapłaciła, elegancka pani też, a żołnierze pokazali tylko dokument. Pociąg ruszył, a tłum ludzi został na peronie; żołnierze, ranni, całe rodziny czekały na kolejny pociąg, żeby uciec przed wojną. Maria cieszyła się, że oto ona już jedzie, ale miała wyrzuty sumienia, bo może ktoś inny bardziej potrzebował tego miejsca w wagonie, bo znów nie wierzyła, że coś jej się należy... Siedziała w kącie i karmiła małą Agnes, odwrócona do ludzi plecami, bo wstydziła się wyciągać dużą, mleczną pierś.

– Mamo, kiedy wrócimy do domu? – pytała cichutko Erika, a Liza tylko patrzyła i też czekała na odpowiedź.

– Nie jedziemy do domu, uciekamy przed wojną – Maria próbowała wyjaśnić coś córkom, ale nie bardzo wiedziała jak. Dla dziewczynek była ta podróż czymś nowym, bo nigdy nie jechały pociągiem, choć pociągi widziały codziennie, ale miały zabronione zbliżać się do torów, bo to było niebezpieczne. Czasem z opą lub omą stawały przy torach i machały rączkami do pasażerów pociągu.

– Nie martw się. Kiedy skończy się wojna, wtedy wszyscy wrócimy do swoich domów – powiedziała do Eriki ta ładna pani z przedziału. Erika nie odezwała się, ale i ona i Liza z ciekawością patrzyły na nią i na dzieci, które z nią były.

– Jesteście ładne i grzeczne i nie bójcie się. My też, tak jak wy, przed wojną uciekamy. Skąd jesteście? – zwróciła się do Marii.

– Ze wsi, spod Opola... – Maria nie była rozmowna i niełatwo obcym ufała.

– Ja jestem z Wrocławia. Anemari jest moją córką, a Tomas mojej siostry. Umarła, a jej mąż – ojciec Tomasa – zginął. Wzięłam go i teraz jest jak mój syn...

Jeszcze się przedstawiła, że nazywa się Katzmarek Klara, a jej mąż jest w Afrikakorps ale od roku nie miała wiadomości; że do wczoraj czekała, ale musi ratować dzieci. Bombardowania zabiły tysiące ludzi i jak długo można żyć w bunkrze... Prosiła, żeby mówić do niej Klara. Maria znów o swoich dzieciach, o Paulu, o rodzicach opowiadała. Pociąg jechał i jechał, tylko dwa razy się zatrzymał i to na chwilę,

że nikt nie wsiadał i nie wysiadał. Wszyscy swoich miejsc pilnowali. W wagonie była wygodą, jakiej nikt się nie spodziewał. Było ciepło i była ubikacja. Maria wyciągała chleb i kroila grube pajdy, smarowała je masłem. Dawała je Erice, Lizie, Tomasowi, Anemarii i Klarze, i tym żołnierzom. Wszyscy byli głodni, a tylko ona miała żywność.

„Muter mieli rację” – pomyślała, bo rzeczywiście, gdyby nie plecak, pewnie nie mieliby już co jeść. Większość rzeczy, które wzięła, zostały w podziemiu, a żywność, tak jak jej matka kazała, miała stale na plecach.

Najgorsza była noc. Agnes płakała. Pieluchy były mokre i było już zimno, bo przestali grzać. Erika i Liza spały, dzieci Klary też, i żołnierze, tylko Maria i Klara nie spały. Maria kołysała Agnes, żeby płaczem innych nie budziła. Źle się czuła w takim miejscu. Lubiła, pole, las, przestrzeń, a w przedziale czuła się jak w klatce.

Nad ranem pociąg zatrzymał się i kazano wysiadać.

– Wychodzić, wychodzić, dalej nie jedziemy, wychodzić... – krzyczał kolejarz.

– Gdzie jesteście, co to za miejscowość? – pytali ludzie, a kolejarz biegł wzdłuż wagonów i dalej wołał, żeby wysiadać. Ludzie wysiadali, tak jak kazano.

I Maria zbierała swoje rzeczy, Agnes wzięła w chustę, plecak na plecy, Erice kazała pilnować Lizy i patrzeć, dokąd mama idzie, to one za mamą. Resztę rzeczy wrzuciła do szmacianej torby i wysiadła z pociągu, za nią Erika i Liza. Pomogła dziewczynkom, bo nasyp był wysoki. Zostali w polu; tłum ludzi w szczerym polu. Zanim wszyscy wysiedli, rozwidniło się i na horyzoncie widać było miasto. Ludzie szli w stronę miasta. Maria też.

– Maria, Maria, zaczekaj – wołała Klara. Maria zatrzymała się. Było jej wstyd, że o niej zapomniała. Teraz razem poszły w stronę obcego miasta. Ale było tu cicho, wojny nie było słychać. „Dzięki ci, Boże, może tu jakoś ten ciężki czas przeczekamy, a potem wrócimy do domu”, pomyślała Maria.